WIECZÓR W CZARNOLESIE

SCENA LIRYCZNA

PRZEZ

ADAMA BEŁCIKOWSKIEGO.

KRAKÓW.
NAKŁADEM „REFORMY“.
CZCIONKAMI DRUKARNI ZWIĄZKOWÉJ
pod zarządem A. Szyjewskiego.
1882.

WIECZÓR W CZARNOLESIE.

(Ostatnie promienie zachodzącego słońca oświecają okolicę. — Jan Kochanowski stoi pod swoją lipą, trzymając w ręku lutnię, nad którą pochylony tak przemawia).

Dosyć już, złota lutni, spocznijmy oboje,
Jam już piersi utrudził, a ty struny swoje!
Wiek, a więcej żywota ciężary i trudy
Odebrały nam czerstwość, i ducha, co wprzódy
Niedoścignionym lotem, w słodkiem twojem brzmieniu,
Bujał po niebios sklepieniu,
Dzisiaj, gdy mu zmęczone spadły skrzydła na dół,
Na ziemski ściągnęły padół.

Cóż? gdy siły nie starczy, gdy serce omdleje,
Gdy człowiek sobie przykry, i świat mu zgorzknieje,
Jeno usiąść gdzie w kącie, i płacząc w cichości
Czekać, aż się otworzy grób dla starych kości.

Nie dotkną cię już więcej, lutni, moje dłonie,
Wraz z głosem mego ducha twój także pogrzebię,
I chyba tylko czasem, gdy wietrzyk powionie
Po gałęziach tej lipy, wydobędziesz z siebie
Ciche brzmienie, na jednę, krótko-trwałą chwilę...
Niby żal po mnie — gdy ja będę już w mogile.

(Zawiesza lutnię na konarze lipy i drżąc ze wzruszenia usiada na ławce. Zakrywa oczy dłońmi i po chwili milczenia cichym głosem się odzywa).

To cios bardzo był dotkliwy,
Który z Twojej ręki mściwej,
Potężny i groźny Panie,
Padł na moje ukaranie!
Córkę mi wziąłeś, me najdroższe dziecię!...
I ciemno, głucho zrobiło się w świecie
Dla mego serca i duszy.
Ah! wiem, że dola ludzka przygodom podległa,
Że nikt nie ujdzie nieszczęść i katuszy;
Widziałem, jak niejedna już nadzieja legła
U stóp człowieka, niby kwiat kosą podcięty,
I umiałem, gdy zło mię zdaleka mijało,
Dodawać innym serca i zachęty,
By przeciw losu napaściom szli śmiało,
Mężnym umysłem znosili swe rany.
Lecz przytem, Boże! w mej dumie
Zdało mi się, żem wybrany
W tym cierpiącym śmiertelników tłumie,
Że nieszczęście, rzucając swe strzały,
Mnie ominie, że z walki z życiem wyjdę cały.

Bolesne zaślepienie! Los chytry, złośliwy,
Czekał długo, zaczaił się na mnie zdradziecko,
I gdzie najmocniej czuję, puścił grot z cięciwy —
Porwał mi dziecko!

Ah, jakie dziecko!... Jest ich w mym domu gromadka,
Ślicznych, czystych aniołków jak gdyby z ołtarza,
Całem sercem je kocha i ojciec i matka,
W nich widzi swoje szczęście, z nich raj sobie stwarza,
A jednak to stracone, to najmilsze było...

Bo zda się, że Bóg na niem już przy urodzeniu
Położył dziwne znamię, coby je różniło
We wszystkiem, w zachowaniu, w postaci, w mówieniu,
Od innych mu podobnych malutkich istotek.
To było cudo Twoje, ty Mistrzu natury,
I tylko brakło jej skrzydlatych lotek,
By ma Urszulka, jakby anioł który,
Wzleciała w niebo, w Twoich gwiazd ramiona!

Wzleciała — ah! niestety, ale wprzód upadła
W zimny grób — poszła w niebo, ale zawiedziona
Ręką śmierci — zniknęła jak senne widziadła,
Zaledwie pokazawszy światu swe oblicze...
O niestałe radości, pociechy zwodnicze!

Marność i marność wszystko! Ludzkie czyny, dzieła,
Nadzieje i uczucia — to wszystko są fraszki
Dla tej mocy, co w dłoń swą nasze losy wzięła,
I robi sobie z nami jak z dziećmi igraszki.

Rozpacz moja już przeszła, minął ból palący,
Ochłódłem z niego, woli Boga wszechmogącej
Ukorzyłem się w skrusze i na łaskę zdałem.
Lecz jak człowiek dotknięty na ciele postrzałem,
Chociaż już cierpieć przestał, członków swych nie czuje,
I sił pierwotnych nie ma, ani dawnej mocy,
Tak mnie ciągle wspomnienie mojej straty truje,
I w duszy rozściela cień nocy.
Nie uwierzę już w szczęście, przyszłość mnie nie znęci,
Bo okropna przygoda tkwi w mojej pamięci,
I ustawnie ostrzega, że na tym padole
Udziałem naszym tylko cierpienia i bole.
Gdy piorun weń uderzy, dąb stuletni runie —
Tak jam się złamał, płacząc przy mej córki trunie.

Biedna ma żona, biedna ma Hanna poczciwa,
Co się nie nakłopoce, jak nie przemyśliwa,
By rozproszyć mój smutek, ulżyć mojej głowie,
Sama cierpiąc w skrytości, mnie chce przynieść zdrowie
Nieraz sobie wyrzucam, że tak źle jej płacę,
Przysparzając zmartwienia, za jej trudy, prace,
Za jej miłość stateczną, i te wszystkie cnoty,
Przez które w domu moim zakwitnął wiek złoty.
Nie każdemu, jako mnie szczęście przysądzono,
By żona życia męża stała się koroną.
O słodkie, błogie chwile, gdym ten klejnot drogi,
Przedmiot czystej miłości, wprowadził w me progi.
Piękna, zacna, rozsądna weszła w dom niewiasta,
Wnet wszystko się rozjaśnia, rozkwita i wzrasta.
Ja sam, czuję się lepszy i duchem wzniesiony,
Lekkomyślność, pustota i zbytek szalony
Odtąd próżno ku sobie moje żądze kuszą,
Kiedy cnota i miłość zawładły mą duszą.
Jest ład, porządek w domu, jest wkrótce dostatek,
Niedługo wieniec ślicznych otacza nas dziatek,
Lecz dla wszystkich wystarczy, o nic nie znam troski,
I czuję się bogatym, ja pan jednej wioski;
Nie żal mi, żem odsunął kasztelański stołek,
Coby mi wniósł z honorem frasunki wespołek;
Lepiej być panem Wojskim! kto przestał na swojem,
Ten kłaniać się nie musi, ani iść przebojem.
Sam własny zagon orzę, a choć w pocie czoła,
Wszystkie trudy lekkiemi czyni myśl wesoła.
Gdy idę za mym pługiem, lub doglądam pracy,
Słońce mi się uśmiecha, nucą polni ptacy,
Kwiaty chylą na łące różnobarwne głowy,
A zdaleka szum słychać zielonej dąbrowy.

Za nic wszystkie królewskich pałaców przepychy
W obec cudów, które mam w mojej wiosce cichej!

A gdy wrócę do domu, to Hanna troskliwa
Już na progu mię wita, pieszczotą okrywa,
A dziatki mi do kolan zbiegają się kołem.
Czasem da nam Bóg gości. Więc dalej ze stołem
Pod lipę. — „Moja Hanno, dzban nam postaw proszę,
Gwarząc, żartując, będziem popijać potrosze.“
Dobrze się jest i pośmiać z dobrym towarzyszem,
Więc sobie z tego potem trefne fraszki piszem.
Inna znowu uciecha, gdy do mojej chaty
Zajrzeć raczy mąż który w naukę bogaty,
Z liczby tych, co są kraju podporą i chlubą,
Już wtenczas choćby przez noc całą słuchać lubo,
Kiedy dzielny Mielecki, albo mój dobrodziej
Myszkowski, o publicznych się sprawach rozwodzi.
Kiedy to Jan Zamojski, lub Górnicki Łukasz,
Któremu równych w piórze nadaremnie szukasz,
O łacińskich autorach wszczną dyskurs uczony —
Mądrzejszych zdań nie słyszą Padwy ni Sorbony!
Sam znów jestem, i wtedy nie czuję tęsknoty.
Biorę do ręki księgę, i czytam wiersz złoty
Horacego, Tybulla. A gdy z łaski nieba
I na mnie także wionie pomyślny dech Feba,
Co mi myśli przyniosą, na papier wylewam —
Sobie a Muzom, zysku ztąd nie patrząc, śpiewam.

Cienista lipo! tyś najczęstszym świadkiem
I towarzyszką była moich pieśni;
Tutaj mi wiersz się toczył rymem gładkim,
Kiedy do wtóru grali ptacy leśni.
Tutaj za śladem Dawida harfisty
Wielbiłem Pana i wieczór i rano,

Tum się spowiadał z mej miłości czystej,
I z mych zapałów przed Hanną kochaną.
Tum dzielnych mężów śpiewał sławne czyny,
I nad rodaków smucił się błędami,
Tum skroń Stefana ubierał w wawrzyny,
Gromił, niezgodą że zgubim się sami.

Daj Bog szczęście ojczyźnie! Na mnie był łaskawy,
Dał widzieć jej potęgę i jej wielkie sprawy.
Dwóch królów oglądałem; każdy dość się wsławił,
Aby mu naród pomnik ze spiżu postawił,
A drugi, jeszcze trwalszy, w swego serca głębi.
Jeden z nich był pan mądry, dobroci gołębiej:
I nie z nazwiska dla nas Augustem jedynie,
Bo we dwójnasób państwa przymnożył w Lublinie.
Drugi mądry i dzielny, cò jak Chrobry wtóry
Rozbijał wrogów w polu i brał fortec mury.

Bodaj tylko swych panów wiekopomnej pracy
Nie zniszczyli niezgodą, prywatą Polacy;
Bodajby nie zgnuśnieli, gdy niebo tak hojnie
Dało im chleba w domu, a chwały na wojnie:
Bodaj kiedyś ich krewkość, ich buta wyniosła
Nie obróciła w gruzy, co dłoń ojców wzniosła!

Lecz odejdź, przykra myśli! Gdy widnokrąg jasny,
Po co nań czarną barwę rzucać duszy własnej?
Co będzie, w ręku Boga!... Jak na twardej skale
Gmach ten stoi dziś silnie, pięknie, okazale;
Jest czem umysł ucieszyć, gdy się widzi wszędzie
Dzielnych mężów przy mieczu, w nauce, w urzędzie,
Świetnych pełno dowcipów, z jakich niegdyś brały
Starożytne Ateny od świata dank chwały;

Muzy, co przedtem samo lubiły południe,
Dzisiaj po naszych gajach przyśpiewują cudnie.

Jam także jął się pracy na tej bujnej niwie,
O pożytku rodaków myśląc nie leniwie,
By do ich wieńca sławy dodać bodaj listek —
Więc się pieśni i Muzie poświęciłem wszystek;
Nie dbałem o godności ani czcze tytuły,
Nie miał dla mnie powabu brzęk pełnej szkatuły,
Nie nęcił mnie gwar świata, co się wielkim zowie,
Rzuciłem dwór królewski, wolałem pustkowie,
Ciszę, samotność w moim skromnym Czarnolesie,
Gdzie i wiatr wieści z tego świata nie doniesie.
Wszystkie łaski i dary fortuny odmiennej
Zostawiłem dla innych — dla mnie chleb codzienny
Wystarczy, gdy mam przy nim spokój i swobodę
I rozmowy z Muzami wdzięczne sobie wiodę.
Bo kto ciebie ukochał, pieśni sercowładna,
Nad tym nie ma panować inna żądza żadna:
Tyś zazdrosna o dusze — kto swą oddał tobie,
Nie odbierze jej nawet choć już legnie w grobie.

Młodości! któż do zgonu ciebie nie pamięta?
Komuż ty całe życie nie zostaniesz święta?
Błogi wieku! gdzie wszystkie naszej duszy tony
Grają jako instrument świeżo nastrojony;
Gdzie, jako wre w wulkanie wszystek ogień ziemi,
Tak serce w nas oddycha siłami wszystkiemi,
Jakie na całą drogę dane nam żywota —
Tyś piękną dla mnie była, o młodości złota!
Ty wlałaś we mnie dążeń wysokich pragnienie,
Z niem chęć i siłę piąć się w górę niestrudzenie;
W twoich snach jam przeczuwał piękność tej niebianki,
Co duszom daje boskość, na skroń lauru wianki,

I żądny dotrzeć szczytów, gdzie jej tron się wznosi,
Nie żałowałem pracy, choć pot czoło rosi.
Po dniach całych, a nieraz i w nocy bezsennej
Ślęczałem nad księgami, by z nich zdrój zbawienny
Trysnął dla mnie nauki i światła i wiedzy.
I nie dość mi się było uczyć w swojej miedzy,
Szukałem skarbów ducha i w obcej krainie,
Tam gdzie Tyber, gdzie Rodan, gdzie Sekwana płynie;
Jak pracowita pszczoła, gdziem zobaczył kwiatek,
Z każdego miód zbierałem na przyszły dostatek;
Wszędzie mistrze wymowy myśl moję ćwiczyli,
Wprawiali w język, którym przemawiał Wirgili
I stary boski Homer, i przez swe nauki
Odkrywali mi trudne tajemnice sztuki.

Wtenczas i ciebie także raz pierwszy poznałem,
O roskoszna miłości! — z wczesnych lat zapałem
Rzuciłem się na oślep w twe wabne ramiona,
Niepomny losu Troi ani Akteona.
Dopiero po niewczasie przyszło doświadczenie,
Że choć grzeją, i palą także twe płomienie.
Ta dłoń śnieżnej białości, com ją pieścił usty,
Podawała mi czarę zatrutą rozpusty,
Albo bez wzajemności, zimna i nieczuła
W ciężkie ślepej niewoli kajdany mnie kuła.
Próżnom swoim kochankom słodkie rymy głosił,
One się śmiały, a jam od płaczu zanosił,
Albo odchodził od nich z sumienia wyrzutem,
I zgryzoty swe topić chciał w kielichu sutym!
Szalone chwile, niby bujnej roli chwasty!...
Szczęściem, że są na świecie i inne niewiasty,
Dał mi Bóg widzieć, kiedym poznał Hannę moją,
Ona mi w nawałności stała się ostoją.

A jak przed słońcem niknie blask księżyca słaby,
Tak przy niej inne dla mnie zginęły powaby,
Gdy wzrok mój, niby z grubej uwolnion ciemnoty,
Przejrzał, i dnia zobaczył raz pierwszy brzask złoty.

O lutni! ty co teraz tak cicha i niema,
Jakby już grób nam zimny był łożem obiema,
Jak ty w mych rękach brzmiałaś dźwiękami licznemi,
Póki mię wiek i smutek nie przygniótł do ziemi.
Całą mą duszę w twoje ja przelałem strony,
Każdy głos mego serca tobie był zwierzony,
Od rozpacznego jęku do lekkiej pustoty!
Z tobą jam śpiewał wojny i płoche zaloty,
Przy twem brzmieniu wielbiłem wszego świata Pana,
A inny raz sąsiadów zachęcał do dzbana;
Twoim cudem jam w czas się przenosił daleki,
By powiedzieć, czem Troja obraziła Greki;
Z ciebie płynął żart błahy, z ciebie ciężka troska,
Że nas za grzechy dotknie mściwa ręka boska;
W tobie się mego życia zeszły dwa bieguny,
Gdym matce śpiewał miłość, łkał u córki truny.
O lutni! ciebie nazwać mogę duszą drugą,
Co przeżyje na ziemi moję pierwszą długo.

Zrazu, jak ptak w klatce od ludzi uczony,
Spiewałem w obcej mowie, nie swojemi tony,
Powtarzałem, czem mistrze napoili starzy,
Nie dowierzając, czy się własny lot wydarzy,
W obawie, czy z mej piersi nowy dźwięk sławiański
Odpowie godnie Muzie i sztuce niebiańskiej,
Skorom słyszał do koła tylko słabe dźwięki,
Wydobyte na lutni od mych ziomków ręki.
Nareszcie Bóg mię natchnął, i w mowie ojczystej
Zanuciłem — a głos brzmiał tak piękny, tak czysty,

Żem się zdziwił, dla czego Olimpscy bogowie
Od wieków nie śpiewali w naszej słodkiej mowie.
Odtąd jam ją ukochał ponad wszelkie inne,
Którym Rzym, którym Grecya swoję sławę winne.
A ona odpłaciła tę miłość stokrótnie.
Bo oto, gdy tak śpiewam, zasłuchany w lutnię.
Do koła mnie słuchaczy coraz szersze grono
Zbiera się, chwali, wielbi pieśń nowo zrodzoną.
I wnet poklask ze wszystkich stron w niebo uderzy.
Moi spółzawodnicy chwalą mnie najszczerzej.
Za niemi prostaczkowie, równie jak uczeni,
Wielcy i mali, wszyscy słuchają mych pieni.
Nie potrzeba mi było o nagrody prosić.
Czci i przyjaźni ludzkiej miałem zawsze dosyć,
Najlepsi w kraju męże, co słyną po świecie.
Nie wzdrygali się oddać szacunku poecie.

O Boże! ja grzeszyłem, kiedym w ciężkiej doli
Nazbyt głośno wyrzekał, że mnie cios Twój boli —
Spuściłeś nieraz klęskę, jako na człowieka,
Lecz czuwała nade mną zawsze twa opieka.
Dałeś mi wiele, Panie! niźli innym więcej,
Dałeś mi język wieszcza, sławę u tysięcy,
Sprawiłeś, że me imię, choć grób pożre ciało,
W dalekiej potomności wspomną jeszcze z chwałą.
Niepłonne to przeczucie, ani próżna pycha,
Że mnie wiekom poleci moja praca cicha,
Że me bezsenne nocy, me serdeczne bole
Kiedyś mi za świetlistą staną aureolę,
A gdy z życiem i resztkę moich smutków strawię,
Duch mój w szczęściu, u Ciebie — tu, żyć będzie w sławie!

(Tymczasem ściemniło się zupełnie. W wieczornym zmroku zjawia się nagle przed Kochanowskim jasnością Olimpijską promieniejąca Muza. On na jej widok ze zdziwieniem powstaje i jej słowom się przysłuchuje).

MUZA.

Po lirze, co w mojej dłoni,
Po blasku, co na mej skroni,
Kim jestem, poznajesz, Janie.
Jam ta, co z Olimpu stoku
Schodziła do twego boku,
Zgodna na każde wezwanie.

Gdzie piękno mieszka wieczyste,
Gdzie źródła tryskają czyste
Natchnienia i myśli bożej,
Ztamtąd ja, niebios mieszkanka,
Spieszyłam chętniej i skorzej,
Do śmiertelnego człowieka
Niż dziewica do kochanka,
Co jej z utęsknieniem czeka.

W mgły niewidzialnej osłonie
Stawałam po twojej stronie,
I cichemi lutni szmery
W sen rajski wprawiając ducha,
Podawałam ci do ucha,
Czem niebiańskie głośne sfery.

Dziś raz pierwszy twemu oku
W całym jawię się widoku,
W całym blasku i jasności,
Bo gdyś skończył swe zawody,
Dzisiaj przyszedł dzień nagrody,
Przedświt twej nieśmiertelności.

Za twą służbę wierną, stałą,
Gdyś u ziemskiej stanął mety,
Weź, co ci się należało,
Weź na skroń wieniec poety!

Wiecznie on zostanie młody,
Jego świeżość nie zwiędnieje,
Nie przyniosą jemu szkody
Ni wiek, ni zmienne koleje.

Przyjdą później inni wieszcze,
Niż ty może więksi jeszcze,
Lecz każdy uchyli głowy,
Przed ojcem ojczystej mowy.
I wszyscy czcić będą ciebie,
Coś, jak Prometeusz nowy,
Pierwszą iskrę zatlił w niebie
Polskiej pieśni narodowej.
Od ciebie brać będą słowa
Wdzięk i czystość i prostotę;
Jak złoto wiecznie blask chowa,
Tak i rymy twoje złote.
Nawet lipę twoją czułą
Wdzięcznem obdarzą wspomnieniem,
Że z twej piersi pod jej cieniem
Tyle natchnień się wysnuło.

Zawsze, w najpóźniejsze wieki
Czcić cię będzie świat daleki,
I twą chwałą będzie brzmiała
Po wsze czasy Polska cała:
Póki jej, jej mowy stanie,
Sława tobie, sława, Janie!

Za twój żywot, za twe pienia
W pokolenie z pokolenia
Będą tobie okrzyk nieść:
Chwała, mistrzu, chwała, cześć!